POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 23 SIERPNIA 1930 ROKU NR. 34

ANDRZEJ STRUG

27)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Zapewne spokojny, legalny powrót będzie związany z dużemi trudnościami; brak było jakiegokolwiek pretekstu do urlopu, jego zachcianka wyjazdu na parę dni do Szwajcarji czy do Holandji wyda się napewno podejrzaną. Mógł przekraść się przez granicę przy pomocy stosunków francuskiej centrali w Berlinie. Zresztą jest na służbie i o wszystkiem postanowi jego tajemniczy szef — van Trothen.

Gdyby mu zostawiono do wyboru: wrócić do kraju, lub zostać i trwać dalej na posterunku — sam nie wie, coby uczynił. Myśl, że rychło mógł się znaleść w swoim domku w Tours wraz z Honorine i dziećmi olśniewała swem nieprawdopodobieństwem. Czyżby sądzonem mu było jeszcze zażyć spokoju i własnego szczęścia? Taki obrót losu nie mieścił mu się w głowie. Od wybuchu wojny przeczuwał, że nie wyjdzie cało z kataklizmu, a po czterech miesiącach walk nad Somme'ą — nawet nie chciał już doczekać końca wojny. Zadużo zniósł okropności, do cna zdarły mu się nerwy. Zatracił ochotę i zdolność do spokojnego życia, zatracił samego siebie i bytował z dnia na dzień, w okropnych warunkach frontu, w obłędnem mniemaniu, że ze wszystkiego, co być mogło, to jest jeszcze najlepsze... Najlepsze, gdyż każdego dnia, o każdej godzinie, w każdej chwili może przyjść śmierć — wybawienie. Po tem, co widział nad Somme'ą — nie godziło się wyżyć, śmierć była jedynem odkupieniem żołnierza za zbrodnie i bezeceństwa, do których przykładał ręki. Ale omijała go śmierć i gdy w szpitalu w Amiens odszukał go wysłaniec Ministerstwa z biura Nr. 2 i przedstawił mu propozycje, które jednocześnie były rozkazem — usłuchał bez namysłu. Albowiem ta nowa okropność też niosła w sobie grozę i śmierć, ale zarazem była trudniejsza i nieznana, zaciekawiała. I było w niej jeszcze zjawisko niesłychane, dokoła którego obracało się tam wszystko — na zawsze, na wieki wieczne pożegnane ukochane słowo — Chemja.

I tu na wrogiej ziemi niemieckiej, na nowym tak osobliwym odcinku walki, w atmosferze zadań i zagadek chemji rozpoczęło się jakieś fantastyczne podobieństwo życia, jakiś byt rozszczepiony, podwójny, pochłaniający przez nieustanny niepokój, przez ustawiczne czuwanie o każdej godzinie każdego dnia, nawet we śnie. Był w tem osobliwy urok zaprzeczenia wszelkiej rzeczywistości, wzniesienia się ponad normy ludzkie, była w tem bezprzykładna nowość, jakaś niepowtarzalność w napięciu psychicznem. Jakże często spadały nań chwile powątpiewania o sobie samym, gdy wymykał mu się ostatni sprawdzian jego realnego istnienia... Te momenty, przelatujące we mgnieniu oka, miały swój własny byt i skupiały się już w jakoweś dzieje sekund, a każda z nich posiadała swoje odrębne oblicze, które zostawało nazawsze obecne w pamięci.

Gdy rozmyślał o sobie, wydawało mu się niepodobieństwem, żeby ktokolwiek kiedykolwiek miał lub mógł mieć podobne przeżycia psychiczne. We wszystkich krajach walczących grasuje niezmiernie wielu szpiegów wszelakiego gatunku i kalibru i każdego z nich jednakowo pali w pięty ziemia nieprzyjacielska, po której stąpa. Ich strach jest inny, rozmaitszy, rzec można bardziej twórczy, mniej ordynarny, niż na otwartem polu walki. Ale z samego strachu nigdy nie mogą powstać w duszy te momenty zatracenia pojęcia o sobie, przenikające zgrozą i śmiertelnem upojeniem. Wierzył, że w jego przeznaczeniach sądzone było, aby wkroczył w tę niebezpieczną krainę ułudy i wyzbył się samego siebie, wyzwolił się. W jakim celu? A czyż ma jakiś cel to lub owo w człowieku? Jaki cel ma naród? Świat? Jakiż cel ma wreszcie i ta wojna, jeżeli pominąć fałsze dokumentów dyplomatycznych, demagogję podżegającej prasy i hypnozę ciemnych mas, które dają się mordować, wygładzać, niszczyć i szarpać, nie pytając za co i o co?

To, co się w nim poczynało, było podobne do nałogu pijaństwa, do namiętności morfinisty, palacza opium. Żądza wyzbycia się samego siebie, wyrwania się z tego, co w nim samym jest rzeczywiste, albowiem zbyt nieznośną się staje nuda tego, co jest. Dopiero tutaj, w poniżeniu karjery szpiegowskiej zaczynał w nim wracać zagubiony w latach wojny instynkt życia, smak istnienia. Gdy chwilami zapominał o tem, że jest Francuzem, gdy żona, dzieci i czterdzieści lat jego życia odchodziły w senną nicość, gdy stawał się naprawdę doktorem Helmem, przybyłym z Kalifornji, aby służyć swej nieznanej niemieckiej ojczyźnie — wówczas ogarniało go rozkoszne poczucie pełni życia i jego bijącego tętna. A gdy nawiedzały go momenty wahania, niepewności, kim on jest, co zdarzało się w nagłych ocknieniach, po nocy, kiedy to kapitan Déspaix spotykał się oko w oko z doktorem Ossianem Helmem, wówczas żył zdwojonem istnieniem, był równocześnie jednym i drugim. Wówczas dostrzegał na mgnienie oka błyskawicę prawdy, a w niej nietylko absurd wojny, ale jego najściślejszy wyraz, coś nakształt chemicznego znaku.

Żył spokojnie, pracował, znakomicie wypełniał swoją rolę. Zawsze czuwał w nim samoczynny niezawodny aparat, czuły na najsłabszy cień niebezpie-

czeństwa. Profesor Wager podziwiał jego polot w pracach badawczych i szybkość orjentacji w najzawilszych zagadnieniach. Wyróżniał go i zbliżył go do siebie; koledzy, starzy, zasłużeni pracownicy profesora zazdrościli przybłędzie, temu osobliwemu Niemcowi z końca świata. Zawiść wzmogła się w Wagershölle, gdy w parę dni po powrocie z Głównej Kwatery profesor zaprosił obieżyświata na obiad. Stary uczony miał w tem pewien ukryty zamiar.

Baronowa przyjęła go w małym saloniku i robiła honory domu w jakiemś zadumanem roztargnieniu. Jej oczy były zagasłe i jakby niepatrzące. Zaczęła zwyczajnie: o pogodzie. Tej zimy tak skąpo słońca, a ona nie może bez słońca. Śnieg stopniał, jest pusto, goło, brudno, obrzydliwie, a do tego ten nieustający wicher. Dmie w tym samym tonie, który spotyka się tak często u Wagnera, naprzykład w Latającym Holendrze. Nie lubi Holendra, tam woła morze, a morza ona nie znosi, poprostu boi się morza.

O tych rzeczach banalnych mówiła jakoś nawpół tajemnie, spowiedniczo, jakby sama do siebie. Mówiła przyciszonym głosem, z namysłem pochylała głowę. Oczy miała przymknięte, ręce splecione między kolanami jakby w poddaniu się jakiemuś oczekiwanemu nieszczęściu. Zamilkła.

Doktór Helm parokrotnie wszczynał rozmowę, ale gdy mu nie odpowiadała, poprzestał na patrzeniu na nią i czekał, rychło li zjawi się profesor, którego głos słyszał przez kilka pokoi, wysilający się przy telefonie, by uzyskać połączenie z Höchst.

Wiedział, że pani Rita czeka od miesiąca na wieść o mężu i że ojciec i wszyscy ukrywają przed nią katastrofę U. C. 17. Poraz pierwszy od dawien dawna użalił się ludzkiemu nieszczęściu, spowodowanemu przez wojnę. Zadużo trupów widział, zadużo płaczących żon i matek... Tu ujrzał cios wojny, wiszący nad tą głową nieporównaną, prześliczne oczy, przymykające się co chwila przed widmem śmierci i, o dziw, poczuł w sobie łzy. Opamiętał się i zaczął o byle czem, żeby zagadać ciężką chwilę milczenia, które stanęło między nimi. Bał się, że lada chwila pani Rita podniesie nań oczy i powie wręcz:

— I pan wie, że Fell nie żyje i każdy wie — po cóż kłamiecie wszyscy?

Nagle porywczo podniosła głowę i przeszyła go spojrzeniem ostrem i rozpaczliwem, jak gdyby odgadła, co pomyślał. Trzeba było natychmiast mówić, gadać, wszystko jedno o czem. Ale nie mógł zacząć, spętany temi oczami. Utonął, zapamiętał się w ich głębinie. Tak mijały minuty. Profesor skrzeczał w telefon, w sąsiednim pokoju służba szczękała talerzami, na ulicy sapały i zgrzytały ciężarowe samochody, a między nimi obojgiem usłała się głucha cisza. Rita zapatrzona zdawała się coś odgadywać w nieznajomym człowieku. Pochłonęło ją to zupełnie. Zauważyła na jego twarzy cienie ruchome, które przesłaniały jak gdyby jego prawdziwą obecność, ta twarz mieniła się, to była sobą, to była cudzą i znowu własną. Czuła do tego człowieka zwyczajną ludzką sympatję, to znowu odpychał ją czemś nieokreślonem. Z urody i z całej postaci był to sobie zwyczajny pan doktór, ale to było tylko pozorne w tym człowieku. On jest w istocie zupełnie inny. Dlaczego on udaje? Czy jest za głupi, czy może za brzydki, czy może zbyt niedobry, że musi robić z siebie innego? Kto on jest? I zapomniawszy się zapytała głośno i nieco natarczywie:

— Kto pan jest?

— Ja? Ossian Helm, chemik, pamięta pani... przed dwoma tygodniami...

— Ja pamiętam, ale nie o to pytam, panie doktorze — uśmiechnęła się z wdzięcznem zakłopotaniem. — Tak spytałam i trudno mi powiedzieć dlaczego. Przepraszam.

— Kto jestem? — podjął doktór z uśmiechem — a któż to może o sobie powiedzieć coś pewnego?

— O tak! Tak! — potwierdziła z zapałem. — Ja, naprzykład, bywam bardzo często małą dziewczynką i nie pamiętam o niczem, co było później. Wówczas jestem szczęśliwa, ale to trwa bardzo krótko, o wiele krócej, niż dobry sen. Przenoszę się czasami do jakichś tajemniczych obcych krajów, albo też przebywam w czasach Karola Wielkiego, Hanzy, albo wśród Meistersängerów, ale też bardzo niedługo. Zdarzało mi się bywać listkiem klonu, który płynie z prądem Renu, zdaleka, niewiadomo skąd — ale na tę chwilę ja, jako listek, wiedziałam o sobie wszystko i znałam moje macierzyste drzewo. Ono stało na wysokim brzegu na zakręcie rzeki, wyrosło wśród ruin zamczyska i pamięta, co się tam działo, gdy na zamku mieszkali ostatni dziedzice. To było w końcu siedemnastego wieku. Ostatni z rodu, zubożały przez wojnę trzydziestoletnią, był wówczas starcem, wszystkie jego dzieci pomarły...

Kilka łez wymknęło się z jej oczu, zamilkła. Przez te łzy spojrzała nań ze zdumieniem, zapytała:

— Co pan mówi?

— Nic nie mówiłem, pani baronowo...

— Pan tego wprawdzie nie powiedział głośno, ale pan sobie pomyślał o mnie, że ja jestem bardzo głupia? Nie jestem taka niemądra, ale panu musiało się tak wydać, bo ja nigdy nie umiałam rozmawiać tak, jak wszyscy. Dla mnie właśnie zwyczajne towarzyskie rozmowy o niczem są niepotrzebne i śmiertelnie nudne. Często w jakimś salonie wszyscy co do jednego nie mają sobie nic do powiedzenia i nudzą się śmiertelnie, a gadają, gadają — z najżywszem ożywieniem, aż huczy w całym domu. I do czego to podobne? Już lepiej opowiadać sobie plotki po kątach, albo kłócić się o politykę. Ludzie nie umieją milczeć, a ja bardzo lubię nic nie mówić. Ale wówczas wszyscy są zdania, że jestem nudna. Cóż, kiedy najczęściej nie ma się wiele do powiedzenia. I teraz nie mam o czem... Aha — pan wie? Na obiad będzie szynka!

Dr. Helm słuchał jej z uśmiechem, jak się słucha małego dziecka, a wpatrywał się w nią badawczo, szukając przyczyny jej uroku. Nie była piękna, ale zdawało się być pewnem, że przy niej zgasłaby najwspanialsza kobieta. Sam głos jej czarował i pieścił, ale w wyrazie jego przeważały smutek i skarga. Skarżyły się jasne brwi, wzniesione tragicznie, skarżyły się usta. Jakże musiała być ubóstwianą przez męża, tego, który już nie żyje... Jakże śmiertelnie kocha go ona, która dręczy się tęsknotą, spodziewa się, że lada chwila otrzyma nareszcie wieść szczęśliwą. Nie — już w niej wypisana żałoba, w tajemnem przeczuciu, w wizji podświadomej musi ona odpędzać od siebie straszliwą marę, która staje w progu — i już nie odchodzi na żadne zaklęcie...

(D. c. n.).

CLAUDE ANET

16)

M A Y E R L I N G

I znowu Marja znajdowała się w tych apartamentach Hofburgu, które znała już.

Hrabina, pozostawiwszy ją przed żelazną furtką, rzekła tonem nieledwie ironicznym:

— Jesteś już teraz tak dorosłą panną, że mogę ci pozwolić pójść samej.

To „teraz" ciążyło na Marji. „Co sobie myśli?" Na to pytanie bez odpowiedzi Marja zarumieniła się.

Mały salonik, do którego wprowadził ją Loschek, był pusty.

— Arcyksiążę przyjdzie zaraz — rzekł Loschek opuszczając pokój.

Salon był czarownie ukwiecony azaljami i białemi chryzantemami. Ten miły hołd wzruszył Marję:

„Pośród swych wszystkich zajęć miał czas pomyśleć o tem!"

Trupia czaszka pośrodku stołu spoglądała swojemi pustemi oczodołami. Marja zbliżyła się. Nie mogła przyzwyczaić się do myśli, że Rudolf żył w codziennem sąsiedztwie śmierci. I ten rewolwer na biurku! Ponurzy towarzysze.

A jednak zdobyła się na odwagę i położyła rękę na błyszczącej czaszce. Przeszył ją chłód.

— Nie lęka się pani tej głowy? — odezwał się głos tuż za nią.

Podskoczyła. Nie słyszała, jak arcyksiąże, stąpając cicho po dywanie, znalazł się przy niej. Był dziś w cywilnem ubraniu; dotychczas widywała go zawsze w mundurze. Co za niespodzianka!

— Jest pan wciąż następcą tronu? — zapytała uśmiechając się. — Nigdy bym nie poznała Waszej Wysokości.

— Lecę więc przebrać się w mundur. Ja, który się tak cieszyłem, że mogę go zrzucić na godzinę!

— Ależ nie! proszę zostać. I tak podoba mi się Wasza Wysokość.

Przytulił ją do siebie.

— Promień słońca wchodzi z panią do tego przesmutnego mieszkania.

— Bo mieszka tu pan w fatalnem towarzystwie — odrzekła, wskazując trupią głowę — i w dodatku to...

Wzrok jej spoczął na rewolwerze.

Rudolf wzruszył ramionami.

— Ryzyko zawodu wymaga rewolweru. Nie zapominaj, śliczna mała panienko, że jestem przedewszystkiem oficerem. Pierwszy mundur żołnierski otrzymałem w piątym roku życia. Wyobrażasz sobie dziewczynko dzieciaka w lokach — ułanem! Mój pierwszy rewolwer wisiał przy pasie podporucznika, gdy miałem, mniej więcej, dwanaście lat. Tak byłem wychowany. Trzeba wybaczyć bardzo wiele biednemu żołnierzowi.

Jak Marja lubiła ten miły, serdeczny sposób mówienia! Wtulona w ramiona arcyksięcia, czuła się w siódmem niebie i bała się ruszyć.

Teraz mówił o czaszce...

— Niema w niej nic strasznego... Ten, do którego należała — był nieszczęśliwym człowiekiem.

— Znała go Wasza Wysokość — zapytała Marja, już zaniepokojona.

— Ależ nie, chciałem tylko powiedzieć, że był to człowiek, również jak my wszyscy — nieszczęśliwy. Miał kłótliwą żonę, zepsute zęby i znacznie więcej kłopotów, niż mógł znieść. I oto pewnego dnia, niema kłótliwej żony, niema trosk, kłopotów, a zamiast tego wszystkiego spokój... I pani uważa, że to straszne? Niema nic bardziej uspakajającego...

Pochylił się nad Marją i ujrzał jej niebieskie oczy, które uśmiechały się.

Zostawmy to — rzekł — dobre to dla moich samotnych godzin, gdy nie mogę patrzeć na tę świeżą i piękną twarz.

Poprowadził młodą dziewczynę na kanapę, pomógł jej zdjąć palto i kapelusz.

— Oto twoje królestwo, a jam jest twoim poddanym. Mogłaś się o tem przekonać ostatnim razem, śliczna panienko. Nie zrobię nigdy nic przeciwko tobie. Jest pani tu równie bezpieczna, jak na Salezianergasse.

Minęła godzina, jak w śnie. Rudolf nigdy nie był weselszy, bardziej otwarty i szczery. Opowiadał o swoich polowaniach; zaczął polować w młodym wieku, i od pierwszej chwili znajdował w tem niezmierną przyjemność.

— Polowanie — opowiadał — dało mi po raz pierwszy możność zbliżenia się do przyrody. Nie zna się przyrody, gdy się jest wychowanym w ogrodzie, lub parku. Żal mi miejskich dzieci, zarówno bogatych, jak biednych! Nigdy nie będą wiedziały, co to las. Trzeba przebywać w lesie, wtedy gdy się zaledwie umie trzymać na nogach, błąkać się po nim całemi godzinami, spać w upalny dzień, drżeć z lęku, że mrok zapadnie, zanim się wydostanie z lasu. Wszystko to poznałem, gdy miałem dziesięć lat.

Marja słuchała, zachwycona.

„Czy można spotkać bardziej ludzkiego człowieka? czy można znaleść skromniejszego księcia?" powtarzała w myślach, „nie, nie zawiodłam się na nim. Jestem najszczęśliwsza z wszystkich kobiet na świecie, gdyż mam go tu, przy sobie i słyszę jego głos".

Gdy przestał mówić, Marja zapytała:

— Nie mógłby mnie pan zabrać z sobą do lasu? Jeden jedyny raz. Las jest blisko Wiednia. Gdyby Wasza Wysokość miała dwie godziny wolne... Ale proszę o wiele, niemal o dwie godziny... I teraz zima, w lesie jest mniej pięknie.

— Bez względu na porę, las jest zawsze piękny. To piękno lasu zimą różni się tylko od piękna — latem. Owszem, pojedziemy oboje do lasu pod Wiedeń.

— I zgubimy się w tym lesie! Będę się bać i przytulę się do pana!

— I nigdy już nie wrócimy!

Na takiej rozmowie zeszło im całe popołudnie. Kiedy nadeszła chwila rozstania, Marja zawołała:

— Przyszłam dopiero!

Rudolf spoglądał na zegarek, niedowierzając swoim oczom:

— Czy to możliwe, ażeby dwie godziny minęły w tem tempie.

Marja była bliska łez.

— Więc mam już odejść. Proszę zatrzymać mnie jeszcze. Ale Wasza Wysokość nie będzie już chciała więcej swojej Marji, która nie potrafiła nic uczynić, ażeby rozerwać swojego królewicza.

A jednak, to skromne i zwykłe popołudnie, podczas którego, jak mówili oboje, nic nie zaszło, żaden fakt szczególny, nic, o co można zaczepić się pamięcią, pozostało w ich wspomnieniu, jako najszczęśliwsze, wspólne przeżycie.

Oczekiwały ich ciężkie godziny. W następnym tygodniu Rudolf spędził dzień w Pradze i dwa dni na polowaniu. Lecz, złowieszczy losie! podczas czterech dni bytności w Wiedniu hrabina bawiła na wsi. Marja obijała się po pałacyku Salezianergasse, jak po murach więzienia. Czy można było wyobrazić sobie tragiczniejsze zrządzenie przeznaczenia? Był tu, czekał na nią, ukwiecił ich raj w Hofburgu, który, przysiągł to jej — należał tylko do nich obojga, a ona była przykuta do matki, jak skazaniec do swojej ławy!

Mimo tylu nieszczęść, otrzymała od Rudolfa dwa tak czułe listy, że więzienie nabrało istotnego czaru. Były zaadresowane do starej niani. Nigdy dotychczas piastunka Marji nie otrzymywała tak obfitej korespondencji.

Arcyksiążę napisał z Pragi króciutki list, lecz słowa zawarte w nim warte były tomów...

„Jakże się mogę obyć bez Ciebie".

Drugi list był z Wiednia. Ton listu uderzał smutkiem. Skarżył się, że ma wiele trosk, ale nie podawał żadnych szczegółów, i Marja nie mogła odgadnąć przyczyny...

Może jego żona! Teraz Marja czuła do niej nienawiść. Cóż za charakter miała ta Belgijka! Czemu była tak niezręczna, że nie potrafiła zdobyć i utrzymać miłości męża; czemu była tak niedobra, że unieszczęśliwiała najmilszego z ludzi! Od roku, groziła mu, że go porzuci! Niech zatem wróci do Belgji! Bolesna zmarszczka pomiędzy brwiami Rudolfa wygładzi się napewno!

Marja odpisała na oba listy. Zaadresowała je do Loschka i wysłała przez posłańca.

„Kocham — pisała — i jestem nieszczęśliwa. Jak to mam pojąć? Chciałabym być wszystkiem dla pana, a tak niewielkie jest moje znaczenie..."

Żaliła się gorzko, że hrabina Larisch nie jest w Wiedniu:

„A gdy wróci, Wasza Wysokość, być może, wyjedzie ze stolicy! Nie lubię, gdy mój królewicz jest zdala od Wiednia. Gdyby spotkało Waszą Wysokość coś niemiłego, cóż wtedy stanie się ze mną?..."

To, mniej więcej, powtarzało się na czterech bitych stronach. A jednak spotkała arcyksięcia w operze, na przedstawieniu „Trystana i Izoldy". Ubrała się wyjątkowo pięknie i poprosiła matkę, ażeby pożyczyła jej trochę biżuterji. Nie było zwyczajem młodych panien wiedeńskich stroić się w biżuterję. Skromny emaljowany krzyżyk na szyi, oto wszystko, co wolno im było nosić aż do zamążpójścia.

Baronowa Vetsera spędziła wiele lat na Wschodzie i w towarzystwie dyplomatycznem, gdzie pozwalano sobie na większą, w tym względzie, swobodę. Dumna była z urody Marji. Dała jej na ten wieczór półksiężyc djamentowy, który Marja wpięła we włosy. Boże! jak żałowała, że nie mogła włożyć pierścionka od arcyksięcia Rudolfa. Ucałowała go przed udaniem się do teatru. Miała białą, jedwabną suknię. Rudolf lubił ją w tym kolorze. Czyż nie udekorował białemi kwiatami małego saloniku w Hofburgu na owo niezapomniane popołudnie? Nigdy nie włożyła tyle starań w swoją toaletę. Żona następcy tronu będzie w teatrze. Marja pragnęła wyglądać pięknie i przyciągać wszystkie spojrzenia.

Nieobecna hrabina Larisch Wallerse odstąpiła baronowej Vetsera swoją lożę, niezbyt oddaloną od loży cesarskiej. Marja miała wielkie powodzenie. Półksiężyc stanowił sensację. Znajomi i przyjaciele przyszli jej to powiedzieć w antrakcie i Marja ucieszyła się.

W tym momencie dopiero zjawiła się para następców tronu. Księżna Koburska towarzyszyła siostrze i szwagrowi. Rudolf zwrócił natychmiast wzrok w stronę loży, w której siedziała Marja. I chociaż była blisko, sięgnął po lornetkę. Myśląc, że nikt go nie obserwuje, uczynił ruch pełen zachwytu.

Tym razem, Marja nie zaczerwieniła się. Następnie — mówiono o niej w loży cesarskiej? — doznała uczucia wielkiej satysfakcji, gdyż obie księżniczki skierowały lornetki w jej stronę i przyglądały się jej... Następnie, Marja przyjrzała się im. Obie były pozbawione urody i elegancji. Rudolf, siedzący za niemi, zdawał się należeć do innej rasy...

„Co wspólnego może być między nimi?" sądziła Marja i na myśl, że los tego, którego kochała, był związany z tą kobietą, serce jej ścisnęło się boleśnie.

Koniec wieczoru był smutny dla niej. Wszystko, co ją otaczało, raniło ją i wskazywało na przeszkody, piętrzące się między nią i Rudolfem.

Znajdowali się w tej samej sali, ale dzieliła ich nieskończona droga. Nie miał tyle swobody, by przebyć kilka kroków od swojej loży do jej loży, przywitać się poprostu, usiąść obok niej, jak tylu innych mężczyzn, których znała tutaj. Kochali się. Istniała już między nimi ta poufność serc, tak rzadka, tak cenna, ta niezmącona czułość, łącząca ludzi znacznie mocniej, niż wszelkie więzy legalne i, oto powstawało między nimi, by ich rozdzielić, jakieś niewiadome coś, wyrosłe z głębi stuleci, góry konwencjonalizmu, chaos starych, głupich, zaśniedziałych praw, dość wielkich jednak, by stworzyć granicę nie do przebycia!

Więc widywać się będą, tylko w tajemnicy, wyrywając przeznaczeniu jedynie krótkie chwile, chwile niepewne... Co za przyszłość!

Na scenie, umierał porzucony Trystan. Izolda wracała, by zespolić się z nim w śmierci. Czy doprawdy śmierć tylko była jedynem schronieniem nieszczęśliwych kochanków. Czy w niej zespalali się na wieczność?

Wróciwszy do domu, Marja spędziła pół nocy we łzach.

Kilka słów od Rudolfa, otrzymanych nazajutrz rano, przywróciło ją życiu:

„Była Pani w teatrze najpiękniejszą. Kocham... R."

Liścik był napisany na papierze z nagłówkiem „Sacher" i datą widowiska teatralnego.

* * *

Minął tydzień. Hrabina Larisch Wallersee wróciła do Wiednia, w którym miała pozostać do Nowego Roku. Lecz dni następcy tronu były wypełnione pracą i obowiązki związane z swojem stanowiskiem wydawały mu się bardzo ciężkie. Dzień za dniem, godzina za godziną tak były rozplanowane, że żadna chwila nie należała do niego.

Kilka minut zaledwie mógł poświęcić Marji, i to nie w Hofburgu. Hrabina Larisch przyprowadziła mu ją do ustronnej alei Prateru.

(D. c. n.).